№ 61. Wtorek, dnia 30 Listopada 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

DRZEW. WARSZAWSKA.

WARSZAWA dnia 18 (30) Listopada 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. **4** kop. **50**; miesięcznie kop. **38**.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. **6**; —
„ „ kwartalnie rs. **1** kop. **50**.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350 (nowy 11).

NIEZNAJOMA POETKA.

(Dokończenie.)

Wiecież ile lat miała autorka tych utworów, na jakie tylko dojrzały artyzm zdobyć się może? Siedemnascie. Mogła odziedziczyć sukcesyjnie miłość piękna, poczucie formy, bo była córką artysty malarza, ale nie skłamała mówiąc o sobie:

Bóg ciebie iskro w pierś moją rzucił,

bo talent jej wyrabiał się w trudnéj walce z przeciwnościami, bo to co innym daje otoczenie, stosunki majątkowe i towarzyskie wychowanie, ona zdobywać musiała w twardych zapasach z najpowszedniejszą prozą życia. Każde źdźbło wiedzy przychodziło jej z mozołem, do systematycznego kształcenia się wolno jej było tęsknić tylko. To też zdania starożytnych: *poetae nascuntur*, ona najżywszem jest poparciem. Nieznajoma nasza poetka przyniosła dar pieśni z zaziemskich światów, a jeżeli okoliczności zewnętrzne nie stłumiły tej pieśni, to tylko dla tego, że pieśń była dla niej koniecznością wrodzoną, że każda myśl która jej umysł przebiegła, w piosenkę się przelać musiała.

Zestawmy naprzykład dwa jej utwory, które tutaj zbliżamy dla samego przeciwieństwa dwóch odmiennych stanów duszy autorki, odbitych w tych poematach jak w zwierciedle:

Modlitwa majowa.

Powiało wonne maju westchnienie,
I strojna w blaski, tęcze, promienie,
Ziemia z letargu ocknięta,
Wdzięczną modlitwą szczęścia, zachwytu,
Wzlatuje w jasny obszar błękitu
Ku Tobie, Dziewico święta!

Widzę porankiem, jak się przeczysty
Modli powiewny narcyz śnieżysty
Z wonną fiołków gromadką;
Słyszę drzew szmery i ptasząt pienia,
Co zlane w jeden hymn uwielbienia,
Do Ciebie wznoszą się, Matko!

A lud w świątyni korny, klęczący,
Otacza ołtarz twój jaśniejący
Wśród świateł, kwiatów, zieleni,—
I uroczysta, rzewna pieśń wionie,
W której jak perła w Twojej koronie
Serdeczna łza się promieni!

Matko cierpiącycych! dzisiaj przed Tobą
I moje serce ciche żałobą
Długiej, samotnéj tęsknoty,
Jak kwiat uwiędły pod kroplą rosy,
Otwiera kielich i znów w niebiosy
Śle smutne modły — sieroty...

Odkąd darń ciemnéj skryła mogiły
Zwłoki najdroższe, w skroń mi sie wpiły
Męczeńskie żywota ciernie;
Nie skargą jednak brzmią me wyrazy,
O! błagam tylko, pomóż bez skazy
Do zgonu donieść je wiernie!..

Bo tyle uczuć, bo marzeń tyle,
Strwonionych marnie, zdeptanych w pyle,
U stóp mych skarżą i płaczą,
Że zwracam w niebo wzrok obłąkany,
Drżąc, by się wiary zdrój zwierciadlany
Nie zćmił zwątpieniem, rozpaczą!..

O! pomóż Matko! niech mi te bole
Oczyszczą duszę — niechaj okolę
Miłością świętą świat cały!
Na progi ofiar wstąpię radośnie:
Niech tam kwiat szczęścia dla drugich rośnie,
Gdzie gorzkie łzy me spływały.

Niech zawsze, zawsze, w noc życia ciemną
Prawd boskich słońce świeci nademną,
Co raj spokoju otwiera;
Niech tak wyzwalam się z więzów ciała,
Jak we łzach rosy ta lilia biała,
Smutna lecz czysta umiera.

Myśl jesienna.

Łzawe w chmurach słońce kona,
Zcichł ptaszęcy chór w przestrzeni,
Ziemia czerni... obnażona
Z szaty wdzięku i zieleni.
Nad nią smutek i milczenie
Cichem skrzydłem się kołysze,
Tylko czasem wichru tchnienie
Przerwie jękiem głuchą ciszę.

Jesień tęskna, jesień blada
Spływa w falach mgły powiewnéj,
Liść pożółkły z drzew opada
Z cichym szmerem skargi rzewnéj,
Gdy go burza rwie szalona,
Gniecie stopa obojętna,
U tej matki ziemi łona,
W której stygną życia tętna.

Lecz w natury świeżych siłach
Nieśmiertelna żyje władza,
Co na gruzach, na mogiłach,
Światy stwarza i odmładza!
Ona tu wszechwładnie zmienia
Życie w śmierć i śmierć na życie,
Sama jedna wśród stworzenia
W nieskończonym wieczna bycie!

Więc, o ziemio konająca,
Tyś w letargu, ty nie zginiesz,
I w promieniach twego słońca
Wdzięki swoje znów rozwiniesz.
W pleśniach śniegu upowita
Będziesz śnić pamięcią wiosny,
Aż znów blaskiem cię powita
Zmartwychstania dzień radosny.

Życie wróci w lica zbladłe
I zanuci chór ptaszęcy...
Zwiędłe kwiaty, liście spadłe
Nie odżyją tylko więcej!
Im na wieki ciemna, cicha
Dziś mogiła się otwiera,
Zkąd nadzieja nie uśmiecha,
Ni brzask świtu się przedziera!
Pył i nicość w jej głębinie,
Gdy rodzinny pień nad niemi
W świeżą zieleń się rozwinie
W dniu wiosennych godów ziemi!

Myśli smutna i zuchwała,
Któréj spłoszyć dziś nie zdoła

Gwiazda wiary, co jaśniała
W dniach wiosennych mi u czoła,
Czemu głos twój tak straszliwie
Brzmi w mem sercu, gdy orzeka:
«Spojrzyj po tych liści niwie,
«To los uczuć i człowieka!
«Nieśmiertelność, miłość, sława,
«W przyszłość duchów ufność tkliwa,
«I tęsknota co się łzawa
«Z ziemskich kajdan w niebo zrywa, —
«Snem, którego złote pióra
«Dziecka marzeń strzegą powiek!
«Ludzkość wieczna jak natura,
«Lecz jak liść ten ginie człowiek.»

Dwa te wiersze są najwymowniejszem świadectwem, że poetka nie tworzy dla tego że chce, ale dla tego że musi. Z odrodzeniem się otaczającej ją przyrody, budzi się w niej wiara głęboka, dziecięca, przycichają zwątpienia i pada na kolana przed ołtarzem Maryi. Ale w jesieni obumiera przyroda, a żal za wiosną i widok jej zgonu otwiera upust myślom rozpacznego zwątpienia. Tak pieśni słowika do pogody na niebie lub do powlekających je chmur ołowianych zastosowanemi być muszą.

Nie piszemy tu studyum nad utworami Maryi, dzielimy się tylko wiadomością o niej z czytelnikami, do których wieść o tym nowym, młodym a niezwykłym talencie nie dobiegła; wolimy zatem zamiast uwag własnych, dawać co chwila jakąś próbkę jej pieśni. Posłuchajcie ślicznego wierszyka, który ma tytuł:

Pożegnanie altanki.

Smutno się blady błękit uśmiécha,
Smutno jęk wichru w oddali kona,
Żegnam cię moja altanko cicha,
Moja altanko osamotniona,
O wiośnie srebrnym spruszona kwiatem,
Okryta cieniem smutnéj czereśni,
W zielone wieńce okryta latem, —
Żegnam cię, żegnam... o! najboleśniej!
Było mi jasno, było mi błogo
Wśród twojej woni, pod twoim cieniem,
Żeglować duchów samotnych drogą,
Tylko z piosenką, tylko z marzeniem;
Przez koronkowe twych listków sploty
Okiem w przezroczu tonąć wiosennem,
I ścigać chyże jaskółek loty,
I wśród róż sercem spoczywać sennem!
Tu się chroniłam od czczych świecideł
Próżności świata i świata gwaru,
Słuchając szumu anielskich skrzydeł
I pijąc słodycz z natchnień puharu.
O! w mojem życiu zimnem, tułaczem,
Gdzież taki drugi zaciszny kątek?
Gdzie się ukryję z serdecznym płaczem,
Gdzie się otoczę światem pamiątek?
Jesień cię martwą dotknęła dłonią
I twoje bujne zielone wieńce
Oto się krasą ostatnią płonią,
Krwawą jak straszne zgonu rumieńce!
Wkrótce cię zima w całun owinie,
Wyiskrzy w jasne brylanty śniegu...
A moja smutna łódka odpłynie
Gdzieś w dal nieznaną od tego brzegu!
Słyszysz, jak szumią spienione fale?
Słyszysz jak wyją przeznaczeń burze?
Żegnam was marzy!.. daremne żale,
Żegnam was gwiazdy, żegnam was róże!..
O! ciebie znowu w następną wiosnę
Maj ozieleni, osrebrzy rosą,
Lecz mnie... czyż kiedy duchy radosne
Jeszcze na skrzydłach tutaj uniosą?
Czy jeszcze w blaskach słonecznych zdoła
Ożyć kwiat marzeń zmięty, stargany?
Znajdęż tu jeszcze wspomnień anioła
I pieśni moich oddźwięk kochany?...
Smutno się blady błękit uśmiécha,
Smutno jęk wichru w oddali kona...
Żegnam cię moja altanko cicha,
Moja altanko osamotniona!

Pieśni Maryi dźwięczą zawsze taką rzewną i tęskną nutą. Nie jest to przecież jednostronność talentu, jest to skutek jednostronności życia, jednostajności stosunków w jakiéj się młoda poetka znajduje. Zbyt krótki jeszcze jéj zawód poetycki, zbyt wiele życia ma przed sobą; w życiu tem nie wątpimy że szczęście uśmiechnie się do niéj, a wtedy dopiero dowiemy się jak brzmi pieśń radości i wesela przez taką pierś wyśpiewana.

Dziś poezye Maryi nie w jednym tylko krakowskim *Dzienniku Mód* się drukują. Są one także ozdobą lwowskiego *Tygodnia*, a wkrótce, o ile nam wiadomo, wyjść mają w oddzielnem wydaniu. Obok drobnych lirycznych utworów znajdą się tam zapewne i większe poemata, jak: *Opryszek*, *Ostatni z Herburtów*, *Biały Narcyz* i t. p., w których poetka okazała się równie znakomitą jak w małych próbkach, które podaliśmy powyżéj.

Nazwisko autorki dotąd osłonięte jest tajemnicą. Zdradziła tylko pierwszą głoskę swego nazwiska i podpisuje się teraz Marya B. Szanując wolę poetki nie zdradzamy téj tajemnicy, poważamy się tylko powiedzieć, że ten Słowik z nad Prutu przebywa obecnie na samych krańcach Galicyi, na Pokuciu, w huculskiéj ziemi, uposażonéj przez przyrodę powabami, które ją czynią godną siedzibą tak niepospolitego poetyckiego talentu.

Władysław S.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 60).

— Pani P. może się tem wszystkiem zajmować, nie przeczę; że to umysł powszedni, już to samo dowodzi, że się zniżyć do takich rzeczy może. Upewniam cię, mówiła Wanda z ironią na ustach, że myśl prawdziwie wyższa nie nagnie się do tego poziomu.

— Wszakże pani P. słynie z tego jednak, że jest i przyjemną i wysoko wykształconą.

— C'est selon, przecedziła przez zęby Wanda poruszając ramionami, i rozmowa się urwała; po chwili milczenia Wanda przypomniawszy sobie zapytała:

U OGNISKA.

IX.

Długo bardzo, sadownictwo i ogrodownictwo w naszym kraju uważanem było za zbytkowną rozrywkę wiejskiego gospodarza, i za środek służący do upiększenia jego siedziby. W niektórych okolicach gdzie brakło komunikacyi i dróg, jeszcze przed niedawnym czasem zajmowanie się ogrodem lekceważonem było jako rzecz nie przynosząca widocznego i znacznego procentu od kapitału jaki weń włożyć należało. Dziś przesąd ten jak mgła rozwiewać się poczyna, a z przyjemnością przychodzi tu nam w naszej *ogniskowej* kronice zanotować, że w pewnych stronach kraju na czele téj postępowej i korzystnéj pracy stają panie nasze jako przodownice. Francuz w barwnem swojem przysłowiu powiada: „że czego chce kobieta tego i Bóg pragnie". My, powinnibyśmy, na to przysłowie pisać się całkowicie; bo u nas dotąd, pomimo że złe wkradło się w społeczeństwo wszystkiemi drogami—jak wiatr i mróz wdziera się szczelinami zrujnowanej wstrząśnieniami budowy, przez pękające ściany, przez rysujący się zrąb, przez dach odarty z pokrycia — pomimo że to złe w pewnych kierunkach rozwielmożniło się i zawładło sumieniami, kobiety najmniej uległy postronnym wpływom, i dotąd w ich gronie znaleść można zacne matki, dobre żony, kochające córki, umiejące poświęcić się siostry, i dbające o dobro ogółu obywatelki. Wyjątki od téj reguły, potwierdzają ją tylko. Jaskrawość ich jest tak uderzającą w oczy, że nieledwie palcem dają się wskazać i policzyć w całym kraju, i chyba w jednej Warszawie, w zbiorowisku trzykroć stotysięcznej ludności, pewien procent złego znika i daje się ukryć.

Ale zbyt daleko odbiegliśmy od sadownictwa, o rozwijaniu się którego w Lublinie, pod Lublinem, i w Lubelskiém, najpomyślniejsze dochodzą nas wiadomości, i jak powiedzieliśmy, dzięki zainteresowaniu się tą ważną gałęzią gospodarstwa krajowego, jakiego dawniéj, w tym stopniu, dostrzedz było trudno. Korrespondent nasz donosi nam że dwie damy, zajmujące wyższe stanowisko w towarzystwie miasta o którem powyżej wspomnieliśmy, chcąc sumiennie nauczyć się sadownictwa udały się do Warszawy, i kilka miesięcy pracowały pod kierunkiem tutejszych znakomitych ogrodników, panów Hozerów i Bardetów. Przybywszy napowrót nie tylko słowem ale i czynem propagować zaczęły kwestyę sadownictwa, przykładem własnym świecąc i zachęcając do działania. Nadto w Lublinie także, p. Valicourt, francuz, człowiek powszechnie szanowany i ceniony—poświęcający się przedtém nauczycielskiemu zawodo-

— A propos, cóż to za interes miałeś do mnie, żeś mi nie chciał pozwolić dokończyć rozprawy którą na jutro koniecznie napisać i odesłać do redakcyi muszę.

— Chciałem pomówić z tobą, mówił ożywiając się p. August, o propozycyi jaką mi własnie dzisiaj zrobił hrabia Z., ażebym przyjął udział w kompanii żeglugi parowéj na Wiśle.

— Więc to tylko o to chodziło? powiedziała Wanda zdziwiona.

— Ale bo, widzisz moja Wando, chciałem się z tobą naradzić; sam dotąd zdecydować się nie mogę, czy lepiéj tę gotówkę co mam włożyć w przedsiębierstwo żeglugi, czyli raczéj trzymać się dawnego projektu i tam u siebie na Podolu w Pożarowie założyć fabrykę cukru.

Wanda ścisnęła ramionami uśmiechnąwszy się.

— A! mój Auguście, nie rozumiem czem się to dzieje, że ty mnie znasz tak mało, i w takim przedmiocie zwracasz się do mnie; ani ja znam się na tem, ani mię to interesować może.

— A ja właśnie sądziłem, odpowiedział z naciskiem p. August, że to co wpłynąć może w jakikolwiek bądź sposób na byt i przyszłość twoich dzieci, przecie interesować cię będzie.

— To się dotyczy wyłącznie obowiązków męża i ojca.

— Tak — powiedział przeciągle p. August, patrząc znacząco na żonę, a jabym też rad wiedzieć co się dotycze obowiązków żony i matki?

A że obiad był skończony, wstał od stołu, ukłonił się żonie zdaleka i poszedł do swego gabinetu. Wanda zawołała za odchodzącym:

— A nie zapomnij Auguście że mamy dziś być u szambelanowéj — wstała także najspokojniéj, wróciła do siebie, i wzięła się znowu do pisania rozprawy, o któréj pośpieszne ukończenie bardzo jéj chodziło.

Wanda przez czas pobytu swego za granicą wiele studyowała system filozofii Hegla i tę zasadę gorąco u nas propagowała; od dwóch lat już blizko wiodła polemikę z przeciwnikami, których u nas na tém polu znalazła. Kobieta filozofka, byłato jeszcze nowość w Europie a cóż dopiero u nas; podnosiło to ciekawość publiczną, czytano chciwie wszystko cokolwiek wyszło z pod pióra młodéj autorki, ona sama zaś była przedmiotem podziwu i uwielbienia w kółku które ją bliżéj otaczało. To dawało jéj nieograniczoną wiarę w siłę swojego geniuszu i występowała coraz śmieléj, a chcąc rozwinąć działalność swojéj propagandy i swobodnie wygłaszać przyjęte przez siebie zasady, redagowała osobne pismo peryodyczne temu celowi przeważnie poświęcone, pod nazwaniem *Prawda*. Wanda uważała się za posłannicę idei i oddawała się z wytężeniem pracy literackiéj, która cały jéj czas pochłaniała.

. . . .

Już było dobrze późno kiedy Wanda jeszcze kończyła z pośpiechem wieczorową toaletę, nareszcie panna służąca wpięła ostatnią szpilkę i odstępując parę kroków powiedziała:

— Już wszystko dobrze, proszę pani.

Wanda przejrzała się w ogromnem stojącem lustrze i znalazłszy wszystko w porządku i według swéj woli, brała za klamkę by wyjść z pokoju, kiedy weszła mamka.

— Proszę jaśnie pani, mówiła, Julcia coś bardzo kaszle i główkę ma jak żar rozpaloną. Wanda się odwróciła i nie odejmując ręki od klamki odrzekła:

— Dajcie jéj lipowego kwiatu albo ulepku fiołkowego, to przejdzie — a odwracając się do panny służącéj dodała: moja Zaborska, proszę cię zajmij się tem sama — i wyszła do salonu.

P. August we fraku i rękawiczkach chodził po salonie z rękami w tył założonemi, zamyślony i namarszczony, wyraźnie czegoś nie ukontentowany, i tak przeszło z pół godziny kiedy nareszcie weszła Wanda. P. August podniósł oczy na żonę, wnet czoło rozjaśnił i aż uśmiechnął się z zadowolnienia.

Wanda w czarnéj aksamitnéj sukni, z perłami we włosach, była tak przepysznie, majestatycznie, królewsko piękna, że aż olśniewać się zdawała. P. August w jednéj chwili wszystkich swoich nieukontentowań zapominać się zdał i zbliżywszy się do żony pocałował ją w rękę i patrzył na nią z zachwyceniem.

Wanda uprzejmie uśmiechnęła się do niego i zapytała:

— Czy dobrze tak będzie?

— Ależ wybornie, przepysznie, odpowiedział mąż oglądając ją przez szkiełko, ty masz osobny dar ubrać się i wyglądać jakoś tak niezwyczajnie.

Wanda narzuciła podany sobie płaszcz; p. August podał rękę żonie i sprowadził ją po schodach do karety.

U szambelanowéj rzęsiście oświecone salony były już pełne, kiedy weszli państwo Augustowie. Jakby na gwiazdę, co naraz jasna i świetna ukazała się na horyzoncie, tak wszystkie oczy zwróciły się na wchodzącą Wandę, która na te czasy była istotną gwiazdą warszawskiego horyzontu. Ze wszystkich stron otoczono wchodzącą parę, ścieląc pod stopy pięknéj filozofki hołd uszanowania i czci, znajomi spieszyli z powitaniem, nieznajomi zaś za największy zaszczyt sobie mieli być jéj przedstawionymi. Wanda była poważnie ożywioną, z taktem i wdziękiem prowadziła rozmowę, któréj każde nieledwie słowo chwytane chciwie, powtarzane, przechodziło z ust do ust zwiększając blask jéj sławy; a wszyscy mówili: „Cóż to za nieporównana kobieta, taka piękna, tak niepospolicie rozumna“ i szmer uwielbienia nie ustawał. P. August go słyszał i czuł się szczęśliwym, a rozpromieniony, wesół, w najlepszym humorze, nie odstępował żony, otaczając ją drobiazgową uprzejmością, a kochał ją w téj chwili szalenie. Mężczyzni mówili sobie: „Cóż to za szczęśliwy człowiek z tego p. Augusta że ma taką kobietę za żonę“ a kobiety patrząc z zazdrością, szeptały: „Szczęśliwe małżeństwo, jak on ją kocha!“.

Na drugi dzień, od samego rana mamka malutkiéj Julci prosiła to bony, to panny służącéj ażeby obudziły panią. Dziecina przez całą noc, rozpalona, w strasznéj gorączce utulić się nie dała, kaszel w połączeniu z tym złowrogiem graniem chrypiącem, na które matkom śmiertelną trwogą serce nieraz zadrgnie, coraz się wzmagał. Pomimo to,

---

wi, w jednym z znaczniejszych domów okolicznych—nabył niewielki kawał gruntu za gmachem Rządu Gubernialnego i założył na nim ogród, rokujący najpiękniejsze nadzieje. Sprowadził z Francyi najprzedniejsze okazy gruszek, jabłek, śliwek i winogron, i dziś już przez produkcyę owoców z własnej ziemi rywalizuje z zagranicznym handlem przywożącym wiedeńskie frukta i sprzedającym je po bajecznych cenach. W okolicy, księża dzielnie dopomagają do rozwoju pomologicznych przedsięwzięć, a osobliwie ksiądz Makara, proboszcz parafii Bychawskiéj. Ten bowiem nietylko że napełnił swój sad szlachetnemi owocowemi drzewami, ale nadto gorliwie wpływa aby włościanie sadzili u siebie dziczki przywiezione z lasu, a on sam udaje się do każdego z nich w oznaczonym czasie, i własnemi *zrazami* najprzedniejszych gatunków szczepi i okulizuje płonki. Nie mamy dość wyrazów na podniesienie właściwe tego rodzaju cichéj i szlachetnéj zasługi, pragnęlibyśmy tylko gorąco, aby przykład księdza M. naśladowanym był przez wszystkich proboszczy, aby szczepiąc w serca i dusze zasady religii i miłości chrześciańskiéj, szczepili zarazem jak on drzewka w ogrodach, a z niemi dobrobyt i łagodność obyczajów, cywilizacyę, myśl i pracę, które podobno były przymiotami moralnemi i cnotami świętych ogrodników Serwacego, Pankracego i Bonifacego. Zwłaszcza że staranie około ogrodu przynosi niemałe korzyści, jeśli staranie to oparte jest na nauce, znajomości rzeczy i doświadczeniu. Z tejże saméj korespondencyi czerpiemy w dalszym ciągu fakta, które potwierdzą prawdę powyższych wyrazów. W okolicy wspomnianéj już przez nas Bychawy, niegdyś miasteczka dziś osady, znajduje się malutki mająteczek doskonale pod każdym względem zagospodarowany, w którym brat właściciela, poświęca się gorliwie ogrodownictwu. Posiada on jeden krzak wina, zasadzony przed czterema laty, który w roku obecnym wydał trzysta funtów winogron. Gdybyśmy zbyt dobrze nie znali osoby podającéj nam tę wiadomość, gdybyśmy nie mieli najlepszego wyobrażenia o jéj prawdomówności, nigdybyśmy sami nie chcieli wierzyć, że podobna wydajność jest możliwą w naszym klimacie i w naszéj ziemi. A jednakże tak jest w istocie, i moglibyśmy z tego samego źródła zacytować jeszcze kilka przykładów, nie chcemy tylko zbytecznie jednym i tym samym przedmiotem przepełniać naszéj tygodniowéj gawędy.

Dodać tylko nam wypada że „Ognisko Domowe“ w swoim rozwoju dzisiejszym i przyszłym, osobliwie od przyszłego Nowego Roku, przy wzmocnieniu współpracowniczych sił, przy rozszerzeniu się ram pisma, kwestyą sadownictwa i ogrodownictwa gorąco i życzliwie zajmować się będzie, stawiając ją między wielu innemi w

nikt nie śmiał budzić pani, która po całych nocach zajęta pracą, najsurowszy raz na zawsze wydała rozkaz, ażeby pod żadnym pozorem nikt budzić jéj się nie ważył. Myśl jéj nieustannie czynna w śnie tylko wypoczywać mogła nie pozwalała go więc przerywać; sługi kręciły się pod drzwiami jéj pokoju sypialnego, ale wejść do niego żadna nie miała odwagi. Mamka, którą to najbliżéj obchodziło, zdecydowała się na krok stanowczy, poszła do drzwi pokoju samego pana i zastukała w nie z cicha.

— Kto tam? zapytał niespodzianie rozbudzony.

— To ja, proszę jaśnie pana, odpowiedziała mamka, Julcia bardzo chora, możeby jaśnie państwo po doktora posłali.

— A pani? zapytał zrywając się p. August.

— Pani dotąd spi jeszcze.

— A mój Boże! stęknął, i nie kończąc myśli zadzwonił na służącego wołając o ubranie, a narzuciwszy coś na siebie poszedł do dziecinnego pokoju. W niedługą chwilę i Wanda rozbudzona niezwykłym ruchem w domu, ocknęła się, a dowiedziawszy się o chorobie dziecka wstała i przyszła także. Śliczna dziecina leżała w łóżeczku rozpalona, z oczkami w słup stojącemi, w garełku jéj odzywało się nieustanne piszczące chrapanie, przerywane dławiącym kaszlem; dosyć było spojrzeć na biedactwo ażeby widzieć, że zawieszone pomiędzy życiem a śmiercią. Posłano natychmiast po lekarza. Wkrótce nadjechał wezwany doktór Malcz, obejrzał dziecię, wysłuchał piersi, zajrzał w zaciśniętą już buzię i głową pokiwał, znalazł krup rozwinięty w najbardziéj zatrważającym stopniu. Rzucono się do pijawek, emetyku i tym podobnych zaradczych środków, ale już wszystko było spóźnione, a wieczorem tego samego dnia z téj ślicznéj, rzeźwéj i wesołéj dzieciny, już tylko martwe ciałko pozostało. Wieść o śmierci dziecka szybko obiegła kółko bliższych i dalszych znajomych. Senatorowa zaraz w rannych godzinach dnia następnego pojechała do państwa Augustów, ażeby pocieszyć swoją ukochaną biedną Wandę.

— Pani jest u siebie, odpowiedział zapytany sługa otwierając drzwi wchodzącéj.

Senatorowa popłakując i ciężko wzdychając weszła do gabinetu Wandy i zdumiała się nieco; spodziewała się zastać nieszczęśliwą matkę zalaną łzami, zrozpaczoną, a ujrzała ją siedzącą spokojnie przy biurku i korektującą ostatni numer *Prawdy*. Służąca czesała ją tymczasem, a w przyległéj garderobie czekał chłopiec z redakcyi, słowem nic tu nie przypominało bolesnéj straty.

Wanda trochę niecierpliwie odsunęła gazetę, wstała z miejsca, podeszła naprzeciw przybyłéj.

— Ah cóż za nieszczęście! mówiła senatorowa ściskając czule i ze współczuciem synowicę,—taka śliczna dziecina zmarła tak nagle; któżby się tego dwa dni temu spodziewał! — a mówiąc to ocierała załzawione oczy.

— Otóż to są przyjemności macierzyństwa; tyle cierpiałam zanim to dziecię przyszło na świat, a teraz kiedy się już trochę podchowało, porozumniało i poładniało, tak niespodzianie umiera, odpowiedziała Wanda i poprowadziła senatorowę do kanapki, wzkazując jéj siedzenie.

— Nie uwierzysz Wandziu moja, jakim gromem ta wiadomość spadła dziś na mnie! Ja, co ciebie tak kocham, uczułam boleśnie twoją stratę. Takaż to była śliczna dzieweczka, miluchna, roztropna, i tak nagle nam ją Bóg zabrał.

— Cóż robić stryjeneczko, może i lepiéj się stało, któż wie czy w życiu byłaby kiedy szczęśliwa. Szczęście kobiet takie niepewne, perswadowała Wanda.

— Ah! ja się uspokoić nie mogę, cóż to był za powód przynajmniéj? pytała jeszcze stroskana senatorowa.

— Mówią że przeziębienie, czy coś podobnego, a któż wiedzieć może co takiemu dziecku zaszkodzi? — odpowiedziała matka.

Senatorowa odjechała, a po niéj inni się zjeżdżać zaczęli, z wynurzeniem współczucia, gotową perswazyą, niosąc pociechę matce, a wszyscy bliżsi adepci i przyjaciele Wandy uwielbiali stoicyzm, z jakim ta niepospolita kobieta znosiła bolesną stratę dziecka; dalsi zaś, mniéj znajomi, szeptali sobie o tem i to i owo, jak to zwyczajnie ludzie, co to nie radzi uznać wyższość cudzą. Pan August jednak znać nie dorósł do filozofii żony, bo widocznie mocno cierpiał; znienawidził francuzkę, chciał ją zaraz odprawić, przypisując słusznie jéj niedbałości śmierć dziecka, ale żona mu to wyperswadowała. Panna Martin mówiła tak czystym paryzkim akcentem i Edzio już tak ślicznie po francuzku szczebiotać zaczynał, jakże ją odprawić można było? więc została.

(*C. d. n.*)

Z PODRÓŻY PO SERBII.

II.

Serbia bardzo słabo jest zaludnioną. Rozległość księstwa dotychczasowa nie jest pewną, z powodu niedokładności istniejących dotąd mapp geograficznych. Najlepszą z nich jest mappa wydana między rokiem 1860 a 1870, przez pułkownika austryjackiego Scheda; w Serbii jednak jest ona prawie nieznaną, dla tego że opatrzona jest tekstem niemieckim. Podania dotyczące rozległości księstwa chwieją się pomiędzy 700 a 1,100 milami kwadratowemi. Na przestrzeni téj żyje według najnowszego spisu ludności około 1,300,000 mieszkańców, pomiędzy któremi, mianowicie zaś we wschodniej części Serbii, jest do 300,000 Rumunów. Ponieważ w księstwie mieszka także wielu Węgrów i Niemców, zdaje się, że liczba zamieszkałych tam Serbów właściwych nie przenosi miliona. Wszelako po za granicami księstwa żyje jeszcze pięć milionów Serbów: w Czarnogórzu, Hercogowinie, Bośnii, Bulgaryi, Kroacyi, jako i Węgrzech południowych, Banacie i Syrmii, która to ostatnia prowincya graniczy na zachód z Węgrami.

Postać Serbów właściwych, szczególniej zaś ludności wiejskiej, mieszkającej w zachodniej stronie księstwa, w okolicach miasta Waliewa, nadzwyczaj przyjemne na mnie robiła wrażenie. Mężczyzni mają wejrzenie piękne i wyniosłe, rysy twarzy naj-

szeregu przedmiotów, rozbiór których staranny i głębszy, za zadanie sobie położyło.

Żeby zbyt daleko nie odbiegać od kwestyj utylitarnych, nie możemy pominąć bez wzmianki działalności skromnego dotąd, i nie reklamującego się wcale przedsiębierstwa amelioracyi gruntów, za pośrednictwem irrygacyi i drenowania, na czele którego stoją panowie: Wyczałkowski i Hornowski. Podjęło się ono już obecnie znaczniejszch robót w Stopnickiem, bo na przestrzeni około 2,000 morgów nowopolskich. Roboty te dokonanemi być mają w przeciągu lat trzech. Cena wydrenowania morga wynosi od 35 do 38 rubli. Podczas trwania każdorocznych robót, właściciele uplacają przedsiębiercom jedną trzecią część należności za takowe, w ciągu tegoż roku wykonać się mające, reszta zaś zostaje rozdzieloną na rozpłaty sześcioletnie, poręczone hipoteką lub solidarnemi wekslami. Udogodnienie zatem jest znaczne, i zachęcać powinno właścicieli ziemskich do kontraktowania z przedsiębierstwem. Zwrócimy tu uwagę czytelników naszych że wspomniane przez nas np. Stopnickie, posiada grunta o zwierzchniej warstwie nadzwyczajnie urodzajnej, ale które w skutek nieprzepuszczalności warstw dolnych, nader często zawodzą w urodzajach. Sąsiednie tej okolicy Proszowskie, gdzie warstwa zwierzchnia jest zupełnie taką samą jak w Stopnickiem, a tylko spodnia jest przepuszczalną, to jest dobrze pochłaniającą wilgoć powstającą z deszczów i śnieżnych roztopów, szczyci się z tego powodu wartością ziemi znacznie wyższą. Kiedy bowiem w Proszowskiem płacą za włókę od trzech do czterech tysięcy rubli, w Stopnickiem nabyć ją można za ośmset rubli. Przez drenowanie warunki gruntów w tych ostatnich stronach stają się te same co i w pierwszych, a więc pomimo pozornie dość znacznego nakładu, wartość ziemi nader wysoko się podnosi. Prócz tego powszechnie wiadomem jest jak błogie skutki sprowadza drenowanie. Przez powiększenie produkcyi regulują się koszta i zniszczą, wykluczają, że tak powiemy, straty — na jakie właściciele ziemscy bywają narażeni przez szereg lat nieurodzajnych. W wielu razach,—a wiemy to z doświadczenia—koszt drenowania, nawet pewnej znacznéj przeszetrzeni, w jednym roku zwrócony bywa przez nadmiar i wzrost produkcyi. Irrygacye więcej są znane w kraju naszym, nie uważamy przeto za konieczne wspominać tu o korzyściach jakie przynoszą. Jakkolwiek bądź urządzenie takowych jest rzeczą niezawodnie nader drogą, w pewnych miejscowościach i okolicach, ale równie jak drenowanie nader szybko zwracają wyłożony na nie kapitał, a w następstwie sowity i olbrzymi procent przynoszą. Mniejsze, aniżeli tego wymagają dzisiejsze potrzeby, roz-

częściej intelligentne i szlachetne, ożywione ciemnemi świecącemi oczami, z których czytasz odwagę, trzeźwość i stanowczość. Mniej piękne są kobiety; jeślim gdzie spostrzegł ładną jaką twarzyczkę, szczęśliwa jej właścicielka pochodziła zazwyczaj z Kroacyi lub Węgier, zkąd Serbowie chętnie biorą sobie żony. Strój wieśniaków jest tam bardzo malowniczy i różny w różnych okolicach kraju. Główną odzieżą mężatek i dziewcząt jest długa, biała koszula płócienna z rękawami od łokcia począwszy otwartemi, ozdobnemi szlaczkami wyszywanemi, fałdzisto ściągnięta od pasa aż pod szyję, i w ten sposób ukrywająca biust przed oczyma natrętnych, nie niwecząca jednak uroku kształtów nadobnych. Na tej koszuli wieśniaczki noszą długi fartuch w pasy poprzeczne, z czarnéj i kolorowej wełny własnoręcznie utkany; po zamążpójściu zaś każda dostaje takiż sam fartuch przyczepiający się z tyłu. Głowa kobiet okrytą bywa pięknie udrapowaną białą chustką, któréj długie końce zwieszają się na ramiona z obu stron, albo są związane pod brodą. Dziewczęta głów nie osłaniają, ale najczęściej mają kwiaty i liście zielone we włosach. Najważniejszą jednak ozdobą dla kobiet serbskich są monety srebrne i złote, najczęściej austryackie i tureckie, a to im więcej, tem lepiej. Monety te bywają przedziurawiane i nietylko na sznurach noszone na szyi, ale także gęsto naszywane bywają na grube płótno, tak, że tworzą często niby pancerz sięgający do pasa, w tańcu brzęczą jak dzwonki i mają wagę niemałą. Tak przedziurawione monety nieraz zjawiają się w obiegu, nie tracąc nic na wartości. Kiedy ręce kobiece nie mają innego zajęcia, a więc w czasie chodzenia lub pilnowania trzody, strój ten uzupełniają przytwierdzone do pasa po lewej stronie kądziel i wrzeciono, któremi najmłodsze nawet dziewczęta w Serbii władają z zadziwiającą zręcznością i wdziękiem. Mężczyzni noszą krótkie koszule płócienne, z przodu otwarte, spuszczone na bardzo szerokie, białe szarawary, i przepasani są kolorowym, na sześć łokci długim pasem wełnianym, wyrobu również serbskich kobiet, w którym to pasie tkwią zazwyczaj bogato wysadzane pistolety i jatagan. Prócz tego na rzemieniu przy boku wisi nóż do chleba, krzesiwo, stempel do karabina i inne do broni palnéj potrzebne przybory. Głowę pokrywa mała, czerwona czapeczka (fez), zazwyczaj bez kutasa. Zimową porą do stroju tego przybywa jeszcze kamizelka, nieraz srebrem wyszywana i kurtka sukienna szamerowana sznurami, najczęściej lamowana futrem lub nawet niem podbita, dolną zaś część ciała ochraniają spodnie aż do kolan nadzwyczaj szerokie, a od goleni począwszy bardzo obcisłe. Na nogach mają pończochy wełniane i obwiązane rzemykami sandały skórzane. Dalsze przedsiębiorąc wycieczki, szczególniej do lasu, Serb zawiesza na ramieniu długą strzelbę albańską, zwróconą lufą do góry, na kolbie i u osady bogato wyłożoną kością słoniową, ,bronzem lub srebrem. Strój ten narodowy nieraz także i w miastach spostrzegać się daje, tu i owdzie jednak w bardzo komiczny sposób bywa zeszpecony, przez dodanie kapelusza słomianego, paltota, eleganckich lakierków, parasola i t. p. Kobiety w miastach noszą zazwyczaj kolorowe, jedwabne spódnice bez staników; pierś zakrywa, nawet na balach dworskich, oprócz koszuli, tylko chustka jedwabna na krzyż złożona. Ale na tej chustce dziewczęta i kobiety serbskie noszą bardzo malowniczy i charakterystyczny, z przodu otwarty, krótki kaftanik o szerokich rękawach, *libada* zwany. *Libada* jest strojem nadzwyczaj gustownym, zrobiona często z bardzo drogiego aksamitu czarnego, fioletowego, ciemno lub jasno niebieskiego, pąsowego, lub nawet z atłasu, w zimie futrem lamowana, latem bogato srebrem lub złotem w prześliczne kwiaty i arabeski wyszywana. Kobiety nawet średniego stanu mają po kilka takich libad, z których każda kosztuje od dwudziestu do trzydziestu dukatów. Libady, podobnie jak i kamizelki dla mężczyzn, wyrabiane są w kraju, i prawie wszyscy kupcy serbscy w chwilach wolnych, kiedy w sklepie niemą kupujących, haftują libady i kamizelki. Widok to był dla mnie szczególny, kiedym przechodząc ulicą w Waljewie, prawie w każdym domu u otwartych okien sklepowych spostrzegał kupców zajętych temi wyrobami ze srebra i złota. Kobiety i dziewczęta w miastach noszą prawie wyłącznie małe, czerwone czapeczki (fezy), przy których kutasy ciemno-niebieskie nie zwieszają się swobodnie, lecz są przyszyte. W około czapeczki takiej ułożone są gładko splecione, powszechnie bardzo piękne, lśniąco-czarne, w niebieski kolor wpadające warkocze. Mężatki pomiędzy fezami a warkoczami noszą jeszcze chusteczki kolorowe. Fryzura to prosta i pełna gustu, w każdym razie gustowniejsza niż fryzury wiedenek, które często głowami swemi zasłaniały mi wieżę św. Szczepana.

Kobiety wyższych klass noszą fezy wysadzane prawdziwemi perłami w piękne desenie; często przecież wyszycie to jest tak gęste, iż zamiast pięknego czerwonego koloru, widać jedynie płaszczyznę blado-żółtawą. Gorszym jeszcze jest zwyczaj wyszywania feza dukatami; w każdym razie dosyć szczególna i bezpieczna lokacya kapitału. Miałem w ręku fez podobny gęsto wyszyty *dwustu* dukatami tureckiemi, i szczerze żałowałem szczęśliwej właścicielki (według naszej hierarchii naczelnikowej powiatu) tego kosztownego, ale bardzo ciężkiego i niepraktycznego nakrycia głowy. Wszystkim dziewczętom serbskim prawie bez wyjątku matki farbują włosy na czerwono; farba ta, jak mówią, ma wzmacniać włosy i nadawać im później ów połyskujący kolor czarny. I brwi także bywają farbowane, różowanie się również często ma być używanem. Ubranie głowy uzupełniają szpilki, brylanty i kamienie kolorowe, nigdy zaś nie obejdzie się bez róży lub goździka wśród splotów kruczych warkoczy. Panny do wyższych sfer należące uczęszczają często przez czas jakiś do zakładów naukowych zagranicznych w Dreznie, Monachium, Wiedniu, Peszcie i zrzucają potem swój strój narodowy, tak, że

---

szerzenie u nas prac irrygacyjnych i drenowniczych, ma główne źródło w braku funduszów. Nasi właściciele ziemscy przeszedłszy trudne kryzys, nieumieją i nie są w stanie obecnie stawić czoła trudnym okolicznościom, i od razu dzielnie zapomódz się w siły pieniężne. Smutnem jest ze wszech miar, że grosz tak łatwy na wszystko co tylko ma pozór przemysłu, a co gorsza spekulacyi, gdzie od losu i szczęścia zawisło powodzenie jak w loteryi, grosz ten nie spieszy na usługi rolnictwu, które w kraju naszym, rolniczym z gruntu, długo musi stanowić podstawę społecznego dobrobytu. Zapominać o rolnictwie, jest to to samo co wyrzekać się prawdziwej materyalnej siły, bez której sztuczny wzrost miasta i sztuczne jego bogactwo, będzie tylko fikcyą zasłaniającą oczy na prawdę. Bo że jedna lub druga firma bankierska reprezentuje *rzeczywiste* miliony, że jeden lub dwa przedsiębierstwa przemysłowe wspierają się na pewnych i olbrzymich kapitałach, że ta lub owa fabryka lub fabrykacya przynosi znaczne procenta i dywidendy, że od czasu do czasu *szwindel* i zręczność kantorowa, doprowadzi jedną lub parę osób do zebrania dużego majątku, to przeto nie można twierdzić że kraj opływa we wszystkiem i że wygnaliśmy raz na zawsze straszne widmo nędzy, groźnie zaglądające nam w oczy. Pierwszym obowiązkiem rozumnego gospodarstwa społecznego jest podnosić rolnictwo. Niech panowie kapitaliści zastanowią się nad tem. Chociażby już tylko w zakresie poruszonéj kwestyi irrygacyi i drenowania, kraj wymaga od nich bratniej pomocy, na której sami odniosą największe korzyści. Wszakże można zebrać kapitał znaczniejszy, akcyjnie, i dać tym sposobem możność prowadzenia robót na rozpłaty, na wielką skalę, w kraju całym. Siły dwóch osób powyżej wspomnianych są za małe, za słabe, za drobny wpływ wywrzeć mogą — a chociaż należy się im uznanie, nie powiemy ażeby na nie bezwzględnie liczyć można, są bowiem zaledwie kroplą w morzu ogromnych potrzeb. To co one zdziałają może być zaledwie zachętą i wskazówką rozumnie obranéj drogi. Brak zaufania, ta zmora dręcząca wszystkie piersi pełne rozsądnych i szlachetnych zamiarów, jest illuzyą, z którą walczyć powinni wszyscy dobro kraju mający na celu. Brak zaufania,—jest to wyrok niedołęztwa, jaki sami na siebie wydajemy, jest chorobą z której wyleczyć się koniecznie należy. Dzięki temu smutnemu brakowi zaufania— i przedsiębierstwo o którem tu piszemy, dotąd nie rozwinęło się należycie, a jednak kapitał jaki by się weń włożyło, byłby kapitałem doskonale użytym, byłaby to pożyczka na lichwiarski procent, nawet w znaczeniu czysto spekulacyjnego interesu. Od czegóż prawo i jego siła i jego przepisy. Wszakże można zabezpieczyć pieniądz swój w ten sposób, żeby nie był uronionym, żeby

fez i libada, pomimo całego uroku swojego, znikają coraz bardziej.

W domach chłopów serbskich napotyka się jeszcze stosunki prawdziwie patryarchalne. Synowie żonaci i córki zamężne pozostają zwykle w domu rodzicielskim razem z małżonkami swojemi i wspólnie zajmują się gospodarstwem pod zwierzchnim nadzorem głowy rodziny. Życie to w gronie familii nie jest jednak przymusowem, owszem, wolno jest każdemu wyjść ze wspólności; podobnież może być zastąpiony kim innym ojciec familii, kiedy dobytkiem wspólnym nie zarządza ku ogólnemu zadowoleniu. Każda para ma mały domek, zaledwie dziesięć stóp kwadratowych rozmiaru mający, tak zwany *woigat*, dokąd się na noc udaje; zresztą życie jest wspólne. Domy chłopskie w ogólności są niewielkie, każdy z nich jednak ma piętro górne, gdzie mieści się pokój jadalny i gościnny. Izby gospodarskie, kuchnia, mleczarnia, przędzalnia i t. p. mieszczą się w tyłuż oddzielnych małych domkach drewnianych, tak, że w jednem obejściu często znajduje się dziesięć takich domków, ocienionych drzewami orzechowemi, gruszkowemi, jabłkowemi lub wiśniowemi.

KSIĘŻNA AGNIESZKA SALM-SALM.

Imie księżnéj Agnieszki Salm-Salm słynne w nieszczęśliwych meksykańskich wypadkach odwagą jej i poświęceniem dla sprawy uwięzionego cesarza Maksymiliana. Znana z dowodów rzadkiej przytomności umysłu i miłosierdzia w służbie szpitalnej i ambulansowej podczas prusko francuzkiej wojny, nabyła ona nowego rozgłosu z okazyi wydanego obecnie pamiętnika, z dziesięciu lat jej życia, który zainteresował mocno czytającą publiczność. W książce téj, wyszłéj w Sztuttgardzie pod napisem: *Zehn Jahre aus meinem Leben—von Prinzessin Felix Salm-Salm*, autorka spisując wspomnienia swego życia, przenosi z kolei czytelnika na trzy odmienne pola, gdzie rozgrywają się walki pełne dramatycznych ustępów, odmalowanych z wielkiem życiem i prawdą. Pierwsze rozdziały zajmują opowiadania o wojnie Stanów Zjednoczonych z Południem. Następne sprawy meksykańskie, ostatnie zaś wojnę francuzko pruską, w której po legł mąż księżny. Nie często pewno napotkać można w historyi świata tak burzliwy lat dziesiątek; czytając opisy tych krwawych zapasów w tak krótkim po sobie następujących czasie, zdaje się że siła elektryczności i pary zmieniła warunki naszego bytu, i że żyjemy dzisiaj daleko szybciej niż dawniej. Epoka w której ciągnie się pamiętnik, obejmuje najważniejsze chwile życia autorki, bo czas jej zamężcia i krótkiego małżeńskiego pożycia. Książe Feliks Salm-Salm, syn starożytnego domu wildgrafów i margrafów tegoż nazwiska, straciwszy znaczne dziedzictwo swoje w hulaszczem życiu w Wiedniu, gdzie pozostawał w wojskowej służbie, powziął myśl opuszczenia Europy i udania się do Ameryki, gdzie go pociągało zamiłowanie awanturniczych przygód zarówno jak chęć odbudowania na nowo utraconej fortuny. Zaciągnął się najpierw do armii Stanów Zjednoczonych, po ukończeniu zaś wojny z Południem, ofiarował swe usługi cesarzowi meksykańskiemu, którego panowanie było już na schyłku. Towarzyszyła mu wszędzie żona, piękna Amerykanka, córka pułkownika Le Clerq, którą poślubił wkrótce po przybyciu z Europy.

W pamiętniku swym księżna opisuje pierwsze poznanie z mężem w obozie niemieckim, do którego przybyła w odwiedziny, a następnie pierwsze chwile zamężcia, w których nie rozłączając się z mężem miała sposobność poznać wybitniejsze osobistości amerykańskie owych czasów. Portret Lincolna, opis jego zamordowania, dom Benetta słynnego bogacza, za którego staraniem odszukano Liwingstona, a wreszcie charakterystyka awanturniczej zbieraniny, zaciągającej się pod sztandary Stanów Zjednoczonych, wszystko to opisane z rzadką trafnością i bystrością poglądu. Różnica obyczajów Nowego Świata od obyczajów staréj Europy wykazana bardzo ijasno, a mianowicie co do stanowiska kobiet, których działalności nic nie krępuje, a otaczające je uszanowanie wszelką czynność im ułatwia. Litość i miłosierdzie księżny dla cierpiących, uwydatnia się w zajęciu z jakiem opisuje urządzenia amerykańskie w czasie wojny. Uszanowanie dla poległych równało się tam troskliwości dla rannych. Po bitwie zwożono umarłych do pięknie utrzymanych cmentarzy, a skoro ktoś żądał tego, mógł przenieść swoich gdzie zechciał. Aby ułatwić to przewiezienie, za wojskiem postępowało wszędzie stowarzyszenie balsamowania ciał; składano je w pakach metalowych, wraz z papierami i wszelkiemi odnalezionemi przy nich przedmiotami, a następnie za stosowną opłatą wyprawiano do miejsc wskazanych.

Opis Meksyku nie mniej zajmujący od poprzednich opowiadań; cuda przyrody, historyczne pamiątki i średniowieczne legendy, skreślone tu równie malowniczo i wdzięcznie jak opisy obyczajów i charakteru mieszkańców. Widzimy tam przeciągające wśród dnia po ulicach amazonki, w świetnych balowych strojach, okryte klejnotami, obok mężczyzn rozmiłowanych również w blasku złotych haftów i bogatych rynsztunków. Postać marszałka Bazaina naszkicowana pomiędzy innemi, przejmuje tu zgrozą i wstrętem, również jak postępowanie wojska francuzkiego, dopuszczającego się tysiąca niecnych czynów. Po uwięzieniu cesarza Meksyku wraz z jej mężem, księżna pełna współczucia dla nieszczęśliwego monarchy, równie jak obawy o los księcia Feliksa podzielającego jego więzienie, zwyciężyła wszelkie przeszkody i dostała się do klasztoru Santa-Teresita, gdzie byli zamknięci, następnie zaś, po wydaniu wyroku na cesarza, wyrobiła sobie audyencyę u Jnareza, i uzyskała jego opóźnienie, mając zamiar przygotować ucieczkę więźnia i zarazem obronę jego sprawy przez sprowadzo-

---

nie został narażonym na ryzyko, żeby nie mógł przepaść i zmarnować się, a jednakże swoją drogą, przynosząc korzyść i pożytek dla kraju, żeby dał dochód pokaźny i wielki. Mniemamy że praca panów Wyczałkowskiego i Hornowskiego, wskaże drogę pod tym względem, i niby pierwsza próbna bateryа, zrobi wyłom w szańcach twierdzy samolubstwa, apatyi i ospałości, niechcącej widzieć bogactw tam, gdzie one są rzeczywiście, a szukając ich w sferach, na które dosyć będzie czasu i później. Nie zaczynajmy od końca, tam gdzie początek obiecuje tyle niezawodnych korzyści.

Od tego poważniejszego przedmiotu, przeskoczymy zwrotem, jaki tylko akrobatom i felietonistom jest przyrodzonym, do lżejszej, barwniejszéj, a jednak nader ważnéj dziedziny prowincyonalnych teatrów, w których pomimo pieniężnych powodzeń, moralnie dzieje się wcale nie dobrze. Publiczność naszych miast mniejszych może złemu zaradzić, oporem, stałem postanowieniem, siłą moralną. W grodach ludnych, jak Warszawa, pewien procent teatralnych widzów, osobliwie w lecie, w ogródkach, musi gonić za rozrywką błahą, pospolitą, szkodliwą, jakiemi są bachanalie operetkowe Offenbachów, Lecocquów i Wspólki. Tu męty towarzyskie solidaryzują się z mętami produkcyj artystycznych, a smak zepsuty kantorowiczów, jak podniebienie smakoszów, potrzebuje szczypiącéj zaprawy i strawy pieprznéj, ostréj, gryzącéj i tłustéj. W prowincyonalnych miastach rzecz się ma inaczéj. Tam na widowiska uczęszczają reprezentanci intelligencyi, tam rodzina spieszy ze wszystkiemi swemi członkami dla rozrywki, dla nauki. dla dopełnienia, że tak powiemy, wykształcenia towarzyskiego. Dla tego też na deskach prowincyonalnych scen, tylko sztuka w całéj swéj uczciwéj i szlachetnéj tendencyi i znaczeniu gościć powinna; na kaskady offenbachowskie, na dwuznaczniki, na rozpasanie, na zdeptanie wszelkich uczuć moralnych, społecznych, ludzkich, nie powinno być na nich miejsca. Tymczasem wbrew przeciwnie rzeczy się mają. Te nawet cuchnące rozkładem i zepsuciem utwory, które u nas kufelkowa publiczność potępiła i odstrychnęła się od nich, te jeszcze cieszą się pewnem powodzeniem w Płocku, Lublinie, Kaliszu, Kielcach, Siedlcach i t. d. Do matek i żon naszych należy, aby temu wylewowi kału i zwątpienia, zaparcia się godności ludzkiéj i zapomnienia o potrzebie moralności, położyły tamę. Jeśli tylko na operetkach Herwégo i Offenbacha, jeśli na „Małym Fauście" i na „Pięknéj Perfumiarce" będzie pusto, jeśli publiczność nie zapełni sali od góry do dołu jak to miewa miejsce, niezawodnie panowie przedsiębiorcy teatralnych widowisk, panowie dyrekto-

nych na ten cel adwokatów. Należało spieszyć z powrotem, z obawy aby pomyślna wiadomość nie przyszła za późno. Droga do Queretaro była popsutą przez ulewne deszcze, a noc bardzo ciemną, często musiano iść piechotą; lekkie obuwie księżny przemokło wkrótce, a następnie zdarło się na ostrych kamieniach, nie chciała się wszakże zatrzymać, i spieszyła dalej aby stanąć na miejscu równo z dniem. Książe Salm-Salm był razem z cesarzem, gdy żołnierz trzymający wartę zawiadomił go o przybyciu żony. Wkrótce potem weszła odważna Amerykanka. Suknie jej były przemokłe a włosy w najwyższym nieładzie; gdy wsparła się na ramieniu męża, ogarnęło ją nerwowe drżenie. Cesarz zbliżył się aby usłyszeć co powie.

— Czy prośba twoja otrzymała jaki skutek? zapytał z cicha książe.

— Juarez nie cofa swego postanowienia, lecz daje cały tydzień zwłoki... Najjaśniejszy panie, dodała swracając się do cesarza, jestem z tego bardzo szczęśliwą...

— Niechaj Bóg cię wynagrodzi senoro, za dobroć twą dla nieszczęśliwego, który ci się sam już nigdy nie wypłaci, rzekł całując jej rękę Maksymilian.

Księżna starała się zmusić do uśmiechu.

— Niech wasza cesarska mość nie mówi tego, gdyż mam prosić jeszcze o nie jedną łaskę...

Książe chcąc przerwać rozmowę nastrojoną na ton smutny, zaczął wypytywać żonę o szczegóły jej podróży i widzenie z Juarezem; następnie zaś radzono co dalej czynić wypadało, i stanęło na tem, że księżna pojedzie zaraz do Meksyku dla sprowadzenia adwokatów i porozumienia się z ambasadorem pruskim baronem Magnusem. Za staraniem księżny przybyli wkrótce adwokaci, którym powierzono obronę sprawy, przybył również baron Magnus, a wraz z nim ambasadorowie włoski, belgijski i austryacki. Rząd wszakże republikański nie zważał na żadne przedstawienia z ich strony, nie obawiając się bynajmniej gniewu oddalonych mocarstw, w których imieniu przemawiali. Ambasadorowie nie znając charakteru krajowców, wierzyć nie chcieli aby położenie cesarza było niebezpiecznem, nie przypuszczając wykonania wydanego na niego wyroku. Księżna, jako Amerykanka, obznajmiona z obyczajami miejscowemi, nie powątpiewała o grożącéj katastrofie, i nie tracąc chwili czasu gotowała ucieczkę. Za jej współudziałem pułkownik Villanova miał uprowadzić więźnia, i pod strażą kilkudziesięciu ludzi zabezpieczyć go w niedostępnych wyżynach *Sierra Gordo*, a następnie dostawić na wybrzeże Oceanu, zkąd już cesarz mógł popłynąć do Europy. Ażeby zamiar ten do skutku doprowadzić, potrzeba było znacznéj summy pieniędzy. Ambasadorowie przyrzekli ich dostarczyć, gdy wszakże przyszło do rzeczy, nic dać nie chcieli. Ambasador włoski popsuł już sprawę szumnie zapowiadając, że da znaczną kwotę temu który wyrobi przewiezienie cesarza do innego więzienia, dopatrzono bowiem w tem zamiaru ucieczki i podwojono straże. Ambasador belgijski nie wahał się, w nikczemny sposób zalecając się republikanom, pochwalać ich postępowanie względem Maksymiliana, austryacki zaś przejęty, obawą aby go nie rozstrzelano wraz z cesarzem, nie chciał w końcu o niczem słyszeć. Co do barona Magnus'a, ten, jak powiada autorka, miał zawsze złote słowa w ustach, lecz nie wydobył i razu złota z kieszeni. Skąpstwo jego, dodaje w rozżaleniu, zgubiło cesarza. W istocie bowiem zdaje się, że gdyby księżna miała zamiast listów zastawnych, które miał wypłacać rząd austryacki, złoto do rozporządzenia, cała sprawa poszłaby inaczej, i pułkownik Palacios, dozorca więzienia, który następnie zdradził zwierzone mu zamiary ucieczki, byłby chętnie patrzał na nią przez szpary. Gdy odkryto knowania księżny, rozgniewany prezydent kazał jej się niezwłocznie wydalić z Queretaro. Nie pomogły wszelkie jej starania i prośby, a nawet rewolwer nabity, który wymierzyła w pierś oficera, przychodzącego ją aresztować. Chciała raz jeszcze widzieć cesarza lub męża, lecz i na to nie zezwolono; wydaloną została do Saint-Louis Potosi na kilka godzin przed śmiercią cesarza. Książe Salm-Salm, którego sprawa nie była jeszcze ukończoną, przeniesiony został do oddzielnego więzienia w kaplicy klasztornéj; na ścianach jej wymalowane były straszne sceny męczeństwa, nie usposabiające bynajmniej do wesołych myśli; smutny los cesarza, równie jak i niepewność własnego przeznaczenia, rozdział z żoną którą kochał, i w któréj staraniach pokładał jedyną nadzieję, podwajała okropność jego położenia. Księżna Agnieszka wszakże, lubo oddalona od niego, nie traciła czasu. Nie mogąc już nic uczynić dla cesarza, dostała się raz jeszcze do Juareza, aby ratować męża. Błagania jej sprawiły, że prezydent, równie jak minister jego senor Inglesio, dał się złagodzić i słowem swem zaręczył w końcu księżnie, że mąż jej śmiercią karany nie zostanie. A w Queretaro tymczasem rozgrywał się już straszny dramat; potomek wielkiego monarchy, dla którego Kortez zdobył tron Montezumy.

(D. n.)

TEATR.

„Febris Aurea“ komedya w 5 aktach przez Zygmunta Sarneckiego.

W zastępie młodszych naszych dramatycznych pisarzy, podniosłością moralnych dążności przeprowadzanych w utworach swoich, jedno z pierwszych, jeśli nie pierwsze miejsce zajmuje bezsprzecznie Zygmunt Sarnecki. Choroby i zdrożności nurtujące nasze społeczeństwo, fatalne ich następstwa, środki przeciw nim zaradcze, wreszcie logiczna Nemezys, karząca tych co się zgubnemu ich prądowi opierać nie chcą i nie umieją, oto żywioły, które pod piórem tego zdolnego pisarza składają się na utwory takie jak: „Pani Hrabina“ „Bezinteresowni“ „Kalecy“, wreszcie „Febris Aurea“, które autor chrzci nazwą „komedyj“, a które pokrojem swoim częstokroć raczéj w sferę „dramatu“ sięgają. Wysokie poczucie posłannictwa dramaturga, szlachetne pojęcie warunków życia społecznego, wielka obfitość pomysłów częstokroć nader szczęśliwych a zacnych zawsze, potężna werwa w ujęciu ogółu przedmiotu, niekiedy prawda żywcem z życia zdjęta, niekiedy wielka świetność koloratury, a czasami znów wytworna finezya w obrobieniu szczegółów, język wreszcie szlachetny i po większéj części poprawny, oto niepospolite utworów tych zalety. Ujemne ich strony stanowią: nierównomierny częstokroć rozkład przedmiotu w podziale na akta; zbyteczne nagromadzenie ubocznych kwestyj obok kwestyi głównéj, za czem idzie wprowadzanie na scenę postaci, do uwydatnienia tych ubocznych celów autora potrzebnych, ale z główną akcyą w koniecznym związku nie będących a zatem zbytecznych; wreszcie, zbyt luźne częstokroć powiązanie między sobą scen, nie idących po sobie w koniecznem, nieuniknionem następstwie, ale przesuwających się jedna po drugiéj niby pojedyńcze, oderwane obrazki.

Zalety te i wady w różnym stopniu i stosunku do siebie występujące w komedyach Sarneckiego, uwydatniły nam się świeżo

---

rowie trup dramatyczno-lirycznych, sami się opamiętają i wrócą na dawną drogę, to jest zmienią swój francuzko-niemiecki repertuar na stary, złożony ze sztuk oryginalnych i arcydzieł europejskich. W szeregach tych dyrektorów, których za głównych demoralizatorów uważać zwykliśmy, trafiają się jednakże ludzie którzy sami pragną przemiany. Tych poparciem i uczęszczaniem do ich teatrów zachęcać należy, ażeby nie wahając się, szli energicznie po gościńcu uczciwości obywatelskiéj. Wiemy że pan Krauze w Kielcach, przeważnie uprawia dział komedyi i dramatu oryginalnego, że zaopatruje się w nowe utwory naszych pisarzy, a przytem grywa sztuki Korzeniowskiego i Fredry; wiemy także, że p. Grabiński w Piotrkowie daje dzieła muzyczne Moniuszki i Webera, że wszelkich usiłowań dokłada ażeby z repertuaru swego wygnać zdrożne rzeczy, —otóż zatem, niech ci panowie widzą, że zaskarbili swem postępowaniem względy ogółu, że ten ich proteguje i popiera. Zdaje się nam że nie potrzebujemy więcéj dodać ani słowa w téj kwestyi,—gdybyśmy jednak zauważyli że mylnie była pojętą, że słowa nasze tłómaczono sobie niejasno, powrócimy do niéj, uważając ją za nader ważną i godną dyskussyi.

(X—i.)

w przedstawionéj w dn. 20 b. m. w tutejszym Teatrze Rozmaitości jego „Gorączce Złota“ (to bowiem znaczy po polsku „Febris Anrea“), komedyi, którą, przyznajemy się że nie wiemy dla czego, autorowi łacińską nazwą ochrzcić się podobało.

Żałujemy tego bardzo, ale zakres ram recenzyjnych w naszem piśmie nie dozwala nam nieco dłużéj zabawić się nad osnową sztuki. Sam tytuł zresztą treść jéj wzkazuje. Choroba dziś wielce rozpowszechniona, materyalistyczna chuć wzbogacenia się, żądza robienia pieniędzy bądź co bądź, *febris aurea* jednem słowem, dostarczyła autorowi wątku do téj dramatycznéj kreacyi. Od razu z góry przy téj sposobności wypowiemy to, co według nas główny zarzut przeciw utworowi temu stanowi, — a mianowicie, że autor za mało uwydatnił w nim ową „gorączkę złota“, że ona nie wypełnia sobą do tyla całéj akcyi, jakby się tego po tytule spodziewać należało. Głównym jéj reprezentantem jest główna zarazem postać komedyi, Gałdziński, brudny a namiętny dorobkiewicz, który z chłopskiego dziecka, najrozmaitszemi niecnemi środksmi, w których wcale nie przebierał, dorobił się olbrzymiéj fortuny, osiadł na wsi a obecnie zagiął parol na kupno majątku sąsiada swego, Latnickiego, zacnego ale podupadłego szlachcica. Obok niego młody Alfred Krott, śmiały ale uczciwy spekulant, już nie tak bardzo na przedstawiciela gorączki złota się nadaje, a tem mniéj hr. Skarbnicka, która z funduszów jakich jéj dostarcza wielkie i wzorowo prowadzone gospodarstwo, coraz więcéj zakupuje ziemi, któréj trzymanie się za podstawę naszego bytu uważa. O innych niema co i mówić. Wracamy do treści. Gałdziński dla tego głównie chce kupić wieś Latnickiego, a nawet płaci za nią nad wartość, że od ekonoma Szalwińskiego, który dawniéj służył u ojca Latnickiego a obecnie pozostaje w obowiązkach u dorobkiewicza, dowiedział się, iż we dworze znajduje się skarb zamurowany przez starego Latnickiego, o którym syn zupełnie nie wie. Kupno ostatecznie przychodzi do skutku i Gałdziński staje u celu swych życzeń, — gdy wtem budzi się Nemezys. Człowiek ten dla którego niema nic świętego, ma jednak jedno ludzkie, szlachetne uczucie, — uczucie nieograniczonéj miłości ojcowskiéj dla swéj córki jedynaczki. Otóż córka ta kocha się w hr. Juliuszu, wychowanku i niemal synu zbankrutowanego Latnickiego. Juliusz kocha ją nawzajem, ale przez szlachetną wzgardę dla jéj ojca i brudem a może i krwią skalanych jego milionów, wyrzeka się własnego szczęścia i oświadcza wyraźnie Leokadyi (córce Gałdzińskiego) że rozejść się na wieki muszą. Zrozpaczona Leokadya, na polowaniu rzuca się naprzeciw dzikowi, który idzie wprost na Juliusza, i zwalona z koniem, stratowana, popada w niebezpieczeństwo życia. Gałdziński, zrozumiawszy co się święci, w obawie o ukochaną córkę, upokarza się do tego stopnia, że sam oświadcza się Juliuszowi, ofiarując mu rękę Leokadyi. Juliusz, w pełnéj efektu scenie, odrzuca tę ofiarę, wypowiadając jasno dla czego. Jak piorunem rażony Gałdziński, przechodzi inne jeszcze upokorzenia i zawody. W końcu Juliusz decyduje się na przyjęcie ręki Leokadyi, ale pod warunkiem, że grosza posagu za nią nie weźmie, ze ojciec jéj natychmiast po ślubie kraj opuści, i że nigdy już córki swej widzieć nie będzie, — albo chyba kiedyś, kiedyś, gdy się oczyści, uszlachetni i godnym tego szczęścia stanie. Wymiar sprawiedliwości dokonany: zuchwały oszust a może i zbrodniarz, który drwił z Boga i ludzi, widzi w końcu, że ów grosz, dla którego całe życie i sumienie poświęcił, nie jest w stanie zapewnić szczęścia jedynéj istocie którą ukochał na świecie, a dla niego staje się źródłem najstraszniejszego ciosu, jaki go mógł ugodzić; — nieludzki chciwiec ukaranym zostaje w jedynem jakie w piersi jego drgało ludzkiem uczuciu.

Charakter Gałdzińskiego wybornie ujęty i najkonsekwentniej przeprowadzony od początku do końca. Skarbnicka jakby wprost z życia przeniesiona na deski sceniczne; — a ten ekonom Szalwiński! jakaż to po mistrzowsku pochwycona postać, jednolicie przeprowadzona w ogóle a w szczegółach nieoszacowana! Scena, kiedy chłopski rozum ekonoma po pijanemu wyprowadza w pole trzeźwego, sprytnego, młodego spekulanta (Krota), który się na wydobycie tajemnicy z upojonego Szalwińskiego usadził, — i scena, w któréj tenże Szalwiński, wsuwając się w palenisko pieca, w którym mniemany skarb jest zamurowany, z intencyą podwójnego okradzenia, bo i Latnickiego i Gałdzińskiego, intencyą, którą przed sobą poświęceniem dla swoich dzieci usprawiedliwia, poczyna śpiewać: „Kto się w opiekę...“, należą do najszczęśliwszych scen w nowszem komedyopisarstwie naszem. Postać Leokadyi, z wielką prawdą, świeżością i nader sympatycznie narysowana, za mało jest rozwinięta,—a szkoda; byłaby to bowiem jedyna postać, skupiająca w sobie główny interes i współczucie widza, na jakiej właśnie zbywa „Gorączce złota“. Postać hr. Juliusza, reprezentująca szlachetne pojęcie nowoczesnéj arystokracyi, możeby także na szerszem wykończeniu zyskała. Latnicki, charakter prawdziwy, ale za słabo rozwinięty. Dwa typy żydowskie wyborne. Młode książątko (Lili), postać prawdziwa i ucieszna. Krot dobrze utrzymany, choć to typ u nas jeszcze bardzo rzadki. Do zbytecznych postaci zaliczamy Kostrzewę, bez którego zupełnie by się obeszło, i pannę Teodorę, gu wernantkę Leokadyi, w któréj autor chciał zdaje się uosobić kwestyą nauczycielek cudzoziemek u nas, ale któréj wypuszczenie nie przyniosłoby szkody komedyi, jeśliby jéj nie wyszło na pożytek. A doktór Ranowski?... Otóż z tym doktorem, któremu autor tak długą rolę wyznaczył, pogodzić się nie możemy. W bardzo wielu utworach nowszej dramaturgii, *Doktór* otrzymał niejako stałą posadę — posadę niby to chóru starożytnego, niby późniejszego powiernika, którego zadaniem jest oświecać publiczność o rzeczach, o których autor w inny sposób oświecić jej nie umiał; ułatwiać rozmaite kombinacye i perypetye akcyi dramatycznéj, które inaczej przeprowadzić byłoby trudno; pomagać jednem słowem do przebiegu całéj akcyi, a wreszcie i essencyą filozoficzną, moralny sens sztuki streszczać zwykle na końcu. Środek to wygodny, ale nie bardzo zręczny i już zużyty. Przekonani jesteśmy, że talent autora „Febris Aureae“ obejśćby się bez niego potrafił.

Co do budowy — to ekspozycya za długa; rzecz z razu idzie samemi opowiadaniami; akcya ożywia się dopiero z końcem drugiego aktu a do kulminacyjnego punktu dochodzi w końcu aktu trzeciego, w znakomicie obmyślanej i wielką znajomość warunków scenicznych zdradzającej scenie, nad którą zasłona zapada. Dalej już ożywienie trwa, choć może znów za wielki odstęp, bo całych dwóch aktów, dzieli ową scenę kulminacyjną od ostatecznego rozwiązania. W ogóle sztuka zyskałaby na większem skupieniu akcyi. Ogólne jej wrażenie nader korzystne, czemu zresztą dała świadectwo licznie zgromadzona i doborowa publiczność, przywołując z zapałem autora po akcie trzecim i na końcu sztuki.

Artyści z ról swoich wywiązali się dobrze i starannie. Pierwsze wejście na scenę pana Leszczyńskiego (Gałdziński) było znakomitem; w dalszym atoli ciągu roli artysta na wysokości pierwszych scen nie wszędzie utrzymać się potrafił. Wybornemi byli p. Niewiarowska w roli Skarbnickiej i pan Szymanowski w roli młodziutkiego Lili. Pan Tatarkiewicz, w roli Krota, od początku do końca nic nie pozostawiał do życzenia. P. Ostrowski (Szalwiński), lubo stał na wysokości swego talentu nie był jednak w zwykłéj swojej werwie, podobno z powodu dojmującego cierpienia, w skutku którego nawet dalsze przedstawienia „Gorączki złota“ przerwać musiano. Pan Damse, z roli żyda faktora Szlamy, ze zwykłem w podobnych rolach wywiązał się powodzeniem —inni artyści grali jeśli nie z równym zupełnie talentem, to z równą usilnością, którą we wszystkich, mianowicie oryginalnych sztukach, w nich widzimy.

Piszemy to według przedstawienia pierwszego; daleko lepiej jeszcze miało pójść przedstawienie drugie, na którem, co się rzadko u nas praktykuje, publiczność znów przywołała autora i grzmiącemi obsypała go oklaskami.

G. C.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 15 (27) Ноября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel**.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 60.)

— Owszem wdzięczny ci jestem, panie Hardwicke, bo przemawiasz jako przyjaciel.

— W każdym razie szczerze mówię.

— Tak szczerze, że równie jak ty chcę być szczerym. Moim zamiarem jest teraz odkupić, jeżeli można, część dóbr Benhampton zawierającą folwark, park i ruiny zamku. Spodziewam się, że pietnaście tysięcy funtów na to wystarczy; tak umieściwszy część mego kapitału, zdaje mi się, że mam prawo reszty użyć na spekulacye.

— Radziłbym zawsze wprzódy dobrze się namyśleć, rzekł kupiec.

— Ależ mój Boże! cóż robię od nie wiem wielu miesięcy, jeżeli się nie namyślam w dzień i w nocy, zawołał De Benham powstając niecierpliwie i przechadzając się po pokoju.

— Zdawało mi się, mylordzie, że chciałeś się mnie poradzić w tym przedmiocie, powiedział p. Hardwicke. Prosiłbym cię więc, żebyś mi powiedział jak myślisz twe zamiary przeprowadzić.

— Nic jeszcze nie postanowiłem, odpowiedział De Benham; wszystko zależy od mojéj wizyty w Benhampton. A teraz mam pewien projekt do przedstawienia panu.

P. Hardwicke oświadczył swą gotowość wysłuchania wszystkich projektów jakie lord De Benham mógł miéć do przedstawienia, a ten ostatni usiadłszy, zaczął żywo i dosyć długo, ale jasno, swoje zamiary wyłuszczać. Przypomniał naprzód panu Hardwickowi, że kapitał jaki posiadał był w części tylko spieniężony, gdyż mała ilość tylko bawełny stanowiącéj ostatnie dwa ładunki *Ptaka Burzy* dotąd została sprzedaną; reszta, za jego własną radą, była zachowaną i czekała chwili gdy ceny jeszcze się podniosą. Dwadzieścia tysięcy funtów, a może i więcéj, należących do niego, były zamknięte w składach pana Hardwicke w Liverpool; gdyby więc za 15000 funtów zakupił ziemi, zostałoby mu tylko 25000 na spekulacye. Tłomaczył potem że dwie drogi leżały przed nim; mógł zupełnie oddzielić swe interesa od interesów pana Hardwicke, zakupić lub nająć mały statek parowy, których wiele teraz w Anglii i Szkocyi na ten cel budowano, i pomimo blokady udawać się do Ameryki po bawełnę, na własny rachunek; druga droga była: wejść w spółkę z panem Hardwicke, stać się współwłaścicielem *Ptaka Burzy*, i urządzać te wyprawy na wspólny ich pożytek.

— Nie potrzebuję wskazywać korzyści i niekorzyści jakie wypłyną dla ciebie, panie Hardwicke, z podobnego układu, powiedział. Skłaniając się do niego, zapewniłbyś sobie dobrodziejstwo doświadczenia jakiego nabyłem i straty twoje, w razie schwytania, o połowę będą zmniejszone. Z drugiej strony nie trudnoby ci było znaleźć zdolnego nadzorcę ładunku i wtedy podwójnie byś zarabiał. Znasz się na interesach, będziesz więc mógł rozważyć wszystko i uczynić wybór.

P. Hardwicke rozparł się w krześle, przymrużył oczy i namyślał się.

— Kiedy masz zamiar jechać do Benhampton, mylordzie? zapytał.

— Dziś wieczór.

— Długo tam zabawisz?

— Chciałbym tam zostać przez jutro i powrócić w nocy, lub też pojutrze bardzo rano. Czybyś chciał panie Hardwicke, zaczekać do mego powrotu, nim co postanowisz?

— Pragnąłbym tego, i tymczasem będę się starał odkryć dla ciebie jaką drogę do majątku mniej hazardowną i uciążliwą.

De Benham potrząsł głową.

— Zdaje mi się że wyczerpałem wszystkie prawdopodobieństwa, powiedział. Jestto zło ta i jedyna sposobność, nie można mieć nadziei żeby druga jéj podobna prędko się zdarzyła; trzeba więc z niéj korzystać dopóki istnieje.

Wstał żeby się pożegnać.

— Czy nie zechcesz przyjść do nas na obiad, mylordzie, w dzień twego powrotu? zapytał p. Hardwicke. Będę się starał żebyśmy sami byli, a wieczór będziemy mogli pomówić o tem wszystkiem.

De Benham przyjął zaproszenie i powiedział, że gdyby musiał dłużéj zatrzymać się w Monmoutshire, zawiadomiłby o tem pana Hardwicke telegrafem.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, mylordzie, rzekł kupiec, że podług twego życzenia masz otwarty rachunek u mego bankiera, i że złożyłem tam na twoje imie summę przypadającą na ciebie po ostatnim podziale naszych zysków. Oddałem także na twój rachunek 2500 funtów jako dowód, jeżeli mi wolno tak się wyrazić, wdzięczności i uwielbienia jakie mam dla twego szlachetnego postępowania przy odbieraniu *Ptaka Burzy*.

— Panie Hardwicke!

— Oto książeczka wekslowa, ciągnął dalej kupiec; w kieszonce znajdziesz kwity bankiera.

— Ale to niepodobieństwo żebym przyjął ten dar!

— Nie mów tego, mylordzie, i nie nazywaj tego darem, należy ci się to zupełnie.

— Jesteś bardzo wspaniałym, panie Hardwicke, rzekł De Benham; ale doprawdy nie mogę przyjąć téj summy.

— Nie jestem bynajmniéj wspaniałym, mylordzie, robię to tylko, co każdy inny właściciel okrętu uczyniłby na mojem miejscu. Odłożyłem 5000 funtów na ten cel; połowa słusznie tobie się należy; 1500 funtów ofiarowałem kapitanowi Hay, a resztę rozdzieliłem pomiędzy mechanikiem i palaczami. Zdawało mi się że był to sprawiedliwy podział.

— A kuzyn pański, Arczybald, który miał równy udział w trudach i niebezpieczeństwach wyprawy i spełniał moje obowiązki, kiedy zachorowałem?

— Nie zapomniałem o Arczybaldzie Blyth, odpowiedział kupiec trochę sztywnie; podniosłem jego pensyą.

— Daj mu pieniądze, panie Hardwicke, lub część pieniędzy jakie mi przeznaczałeś, powiedział De Benham. Zasługuje na to jak każdy inny ze znajdujących się na okręcie, i będzie mógł przyjąć ten dar bez skrupułów, które mnie zniewalają do odrzucenia go.

— Gdybym ten dowód mojej wdzięczności ofiarował pod inną postacią, nie byłby ci może tak wstrętnym, mylordzie? zapytał kupiec.

— Nie, panie Hardwicke, nic by to nie zmieniło mojego postanowienia. Miałem moją część w ładunku *Ptaka Burzy*, i pomagając do odebrania okrętu, broniłem siebie równie jak pana. Nie zasłużyłem na nadgrodę i żadnéj nie przyjmę.

P. Hardwicke ukłonił się.

— Muszę się poddać twemu postanowieniu, mylordzie, powiedział, jakkolwiek bynajmniej nie zgadzam się z tobą. Zdaje mi się że cię nie obraziłem.

— Wstydziłbym się, gdybym to uważał za obrazę.

— A co do Arczybalda Blyth, czy byłoby ci przyjemnie, mylordzie, gdybym mu dał udział w téj gratyfikacyi?

— Największą przyjemność sprawiłbyś mi, panie Hardwicke.

— Dam mu więc pięćset funtów.

De Bendam był uradowany; wprawdzie wolałby żeby ta summa była podwojoną, ale i tak szczerze i gorąco wyraził swą wdzięczność.

— Życzę ci wszelkiego powodzenia w Monmoutshire, mylordzie, powiedział p. Hardwicke i będziemy na ciebie oczekiwali we czwartek z obiadem.

— Dziękuję, rzekł De Benham, będąc już przy drzwiach.

— Ale zdawałoby mi się, że nie jesteś jeszcze dość silnym żeby w nocy podróżować.

— Dość silnym, panie Hardwicke? Owszem, gotów nawet jestem udać się znów z Londynu do Severato, jednym tchem.

Ścisnęli się za ręce i De Benham odszedł.

Kiedy przyszedł do domu w parę godzin później, zastał mały salonik pełen kwiatów i zamieniony w prawdziwy ogród zimowy; na stole stał koszyk winogron i ananasów.

— Cóżto matko? zawołał śmiejąc się, czy deszcz kamelij na nas upadł?

— Panna Hardwicke to wszystko przysłała, powiedziała lady De Benham.

— Tak się domyślam. Co za wrzosy godne malarza!

— Wolałabym była żeby tego nie uczyniła.

— Jestto grzeczność z jéj strony.

— Wiem, ale...

— Ale co?

— Nie pragnę ani jéj znać, ani odbierać od niéj grzeczności.

— Moja droga matko, kwiatki i owoce tu są i musisz je przyjąć; ale nie widzę przyczyny dla której powinnabyś się zapoznawać z panną Hardwicke, jeżeli sobie tego nie życzysz.

— Przyjąwszy to wszystko, muszę u niéj być, powiedziała lady De Benham, i nie wiem jak to zrobić. Od trzydziestu lat przeszło nie oddawałam wizyt.

— Będę u niéj i twój bilet zostawię.

— A ona wtedy będzie miała prawo mnie odwiedzić.

De Benham się uśmiechnął.

— Ależ, matko, powiedział, panna Hardwicke jest osobą dobrze wychowaną.

Lady De Benham westchnęła i potrząsła głową.

— Siostra kupca z City, powiedziała, wystrojona, pyszna ze swoich bogactw, napuszona; znam ją doskonale, chociaż jéj nigdy nie widziałam.

— Nie; panna Hardwicke nie jest bynajmniej taką. Jest zimną, obojętną, ale o ile mi się zdaje nie jest ani pyszną ze swoich bogactw, ani napuszoną, a z pewnością nie jest nigdy nadto wystrojoną. Nie lubię jéj, ale muszę przyznać że jest dobrze wychowaną.

— Ale bilet, który nie wiem czy znajdę, powinien być oddanym jutro, a ty dzisiaj wyjeżdżasz.

— Jadąc na kolej, wstąpię do niéj i oddam go dziś wieczór.

Lady De Benham wyszukała chociaż z tru-

dnością bilet wizytowy, zżółkły, stary, ostatni swego rodzaju, sięgający pierwszych lat po jéj zamążpójściu, i Temple, jadąc na kolej, zostawił go u szwajcara w Strathellan House.

ROZDZIAŁ XIV.

Dom w żałobie.

Benhampton w grudniu, gdy go okrywało niebo szare i ponure, i wiał zimny wschodni wiatr, wydał się bardzo posępnym podróżnemu który przyjechał tam zziębnięty i zmęczony, po długiéj nocnéj podróży, skromnem śniadaniu w Monmouth, i po dwumilowéj przejażdżce na trzęsącéj bryczce. Kiedy pierwszy raz był tutaj, nie zatrzymał się wcale we wsi, a teraz gdy woźnica poganiając chudą szkapę przejechał długą i nieregularną ulicę i zatrzymał się przed brudną karczemką pod *Trzema Butelkami*, De Benham pomyślał że rzadko kiedy widział miejscowość mniéj obiecującą. Wysiadł jednak pod *Trzema Butelkami*, kazał woźnicy wyprządz konia i zaczekać na niego, a sam piechotą poszedł do zamku.

Wioska, gdy znów tam się udając musiał przejść przez nią, zrobiła na nim jeszcze przykrzejsze wrażenie. Chałupy były brudne i opustoszałe, droga nierówna, okryta kałużami i stosami śmieci; dwie lub trzy kobiety stojące przed drzwiami swoich siedzib i kilkoro dzieci osmolonych bawiących się na dworze, miały postać chorobliwą i nieokrzesaną, a mostek kamienny prowadzący do zamku, rzucony był nad leniwym strumykiem mętnym i cuchnącym. Wszystko to okazywało, jak opieka właściciela potrzebną była. Ostatni De Benhamowie, utracyusze przesiadujący tylko w stolicy, daleko od swoich włości, nie potrafili wypełnić swoich obowiązków i podanie lepszych czasów nie przechowało się nawet pomiędzy temi biednemi ludźmi. Ale te lepsze czasy istniały jednak dawniéj, gdy pan żył pomiędzy swymi poddanymi kochany i szanowany od nich. Piękną i szlachetną byłoby to rzeczą, rzeczą dla któréj warto było żyć i pracować, wznowić te dawne dobre czasy, zrzucić te nędzne lepianki, budować, drenować, sadzić drzewa, urządzać szkółki, rozdawać pieniądze, a z niemi szczęście i zdrowie pomiędzy wieśniakami.

Tak marząc De Benham wdrapał się na pagórek, u szczytu którego rysowała się na szarym tle nieba nieregularna, zczerniała linia dawnych murów.

Szedł powoli, bo pagórek był stromy z téj strony, a jednak niedługo zmęczył się i zadyszał, a kiedy już doszedł do szczątków zamku, musiał się zatrzymać i odpocząć. Usiadł więc pomimo zimna pod osłoną filaru podtrzymującego ścianę i pierwszy raz zauważył, iż mniéj silnym był teraz niż przed dwoma miesiącami.

Cała ta strona pagórka wyraźnie stanowiła dawniéj część parku, z drugiéj strony granice jego rozciągać się musiały aż do doliny. Poważne dęby i wiązy pozbawione teraz liści, wznosiły się to razem, to pojedynczo po całéj téj przestrzeni; niektóre kilko-wiekowe dęby, o pokrzywionych i sękatych gałęziach i korzeniach, leżały powywracane. Do zamku wjeżdżało się z tamtéj strony, gdzie znać jeszcze było ślady alei, z któréj kilka drzew tylko pozostało. De Benham odpoczywając przez kilka minut myślał o zasadzeniu nowéj drogi wijącéj się naokoło pagórka, i w wyobraźni swojéj widział już jak jelenie i sarny pasły się w cieniu młodych drzew.

Wstał i wszedł do zamku dawną i wspaniałą drogą w stylu normandzkim; żeby dojść do części zamieszkałéj, musiał przejść przez dziedziniec gospodarski, przez gumna napełnione stertami, koło stodół starannie zamkniętych, i szop pod któremi stały rzędem wielkie wozy pomalowane na niebiesko i czerwono, i wyglądające jak rybackie łodzie leżące na wybrzeżu morza.

De Benham oglądał się, spodziewając się co chwila ujrzeć opasłą postać pana Bowstead, ale zamiast właściciela, zobaczył tylko kilka kur i kogutów dziobiących ziemię, wielkiego psa drzemiącego w budzie, i starego człowieka idącego do stajni z pękiem słomy na plecach. Dziwna cisza i spokojność panowały wszędzie i nadawały jakby świąteczny pozór całéj miejscowości; wszystko zdawało się odpoczywać; nawet pies podniósł tylko głowę i zamknął oczy, jakby mu się nie chciało szczekać na nieznajomego.

Zdziwiony tem ogólnem milczeniem, De Benham przeszedł wewnętrzny dziedziniec, poszedł wprost do zielonych drzwi i zadzwonił.

Młoda i wysoka osoba w czarnéj sukni otworzyła drzwi i kiedy De Benham zapytał się czy pan Bowstead był w domu, cofnęła się, zawołała na kogoś w salonie i poszła na górę, zakrywając oczy chustką.

Gruby i otwartych rysów mężczyzna, także czarno ubrany, wyszedł, ukłonił się poważnie i powiedział:

— Mój brat umarł, wczoraj go pochowaliśmy.

De Benham zażenowany że o umarłego tak się zapytał, zaczął przepraszać za swoją natrętność.

— Nie jest to bynajmniéj natrętwem, odpowiedział gruby mężczyzna. Niech pan będzie łaskaw wejść.

— Nie domyślałem się że zastanę ten dom w żałobie, powiedział De Benham. Lepiéj zrobię, zdaje mi się, nie wchodząc.

— Owszem panie, prosimy pana. Czy z Monmouth przybywasz?

— Z Londynu. Przyjechałem nocnym pociągiem.

Gruby mężczyzna spojrzał na niego z ciekawością i wprowadził go do salonu, gdzie dwie inne młode osoby równie w grubéj żałobie siedziały przy oknie, zajęte szyciem także czarnych rzeczy.

— Pan z Londynu, moje drogie, powiedział stryj.

Powstały obiedwie i ukłoniły się; De Benham zdjął kapelusz.

— A teraz, powiedział gruby mężczyzna, czem możemy panu służyć?

De Benham rzekł że niczego nie pragnął, bo zjadł śniadanie w Monmouth.

— Przyjechałem tutaj, powiedział wahając się, tylko w interesie.

Jedna z panien Bowstead przysunęła już krzesło do kominka, gdy druga wyjęła z szafy wino i ciasto.

— Interes czy nie interes, odpowiedział stryj, musisz o téj godzinie posilić się trochę; na teraz to wystarczy, gdyż o pierwszéj jemy obiad.

Panny zebrawszy swoją robotę, przygotowywały się do odejścia; starsza przechodząc koło stryja zatrzymała się i kilka słów powiedziała.

— Wszędzie mogę mój interes wyłuszczyć, mówił De Benham zakłopotany; może na dworze; moglibyśmy się przejść po ruinach.

— Pan nie przeszkadza nam tu wcale. Moje siostrzenice pójdą tymczasem przygotować pański pokój. Ale gdzie są rzeczy? czy je zostawiłeś pod *Trzema Butelkami*?

Ta starodawna gościnność, gotowa i ufająca, w biblijnéj swéj prostocie ofiarowana równie serdecznie w czasie nieszczęścia jak wśród radości i to kiedy nieznajomy ani imienia ani celu swych odwiedzin jeszcze nie wyjawił, przyjemne wrażenie na De Benhamie uczyniła. Wymówił się jednak, odpowiadając że miał zamiar powrócić téj nocy jeszcze do Londynu; panny Bowstead wyszły wtedy, zostawiając go samego ze swoim stryjem.

— Powinienem zacząć od przedstawienia siebie, rzekł. Nazywam się De Benham.

— Nie z De Benhamów do których to miejsce dawniéj należało?

— Owszem, od nich pochodzę.

— Doprawdy? dotąd myślałem że rodzina zupełnie już wygasła.

— Byłem tutaj przeszłego lata, mówił młody człowiek. Brat pański oprowadził mnie po tych ruinach. Zdaje mi się iż pan mówił, że nieboszczyk pan Bowstead był twoim bratem.

— Tak jest; Mateusz Bowstead był moim starszym bratem, ja jestem Marek Bowstead, do usług pańskich.

— Celem moim drugi raz tu przychodząc, ciągnął daléj De Benham, było dowiedzieć się, czy p. Bowstead nie miałby ochoty pozbyć się tego majątku?

— Pozbyć się tego majątku? powtórzył p. Marek. To jest sprzedać go?

— Tak, sprzedać go.

— Ha! a kupiec?

— Ja nim byłbym.

— P. Marek Bowstead kręcił się na stołku, patrzał w ogień, ale De Benham dostrzegł wyraz zadowolenia na jego twarzy.

— Czy mogę się z panem rozmówić w tym przedmiocie jako z osobą przedstawiającą prawa nieboszczyka brata? spytał De Benham.

— Owszem; jestem przedstawicielem Mateusza Bowstead, bo jestem egzekutorem jego testamentu i opiekunem jego córek.

De Benham zaczął wtedy tłomaczyć, że pochodząc z rodziny do któréj dobra te dawniéj należały, życzył sobie odkupić zamek i przyległe ziemie, ale że dotąd nie był w możności wystąpienia z żadną propozycyą kupna. Położenie jego zmieniło się jednak teraz o tyle, że mógł rozsądnie o tem pomyśleć, a że miał niedługo wyjechać z Anglii na jakiś czas, życzył sobie wprzódy wiedzieć, czy jego chęci nabycia nie będą odrzucone przez teraźniejszych właścicieli.

Oblicze pana Marka Bowstead coraz bardziéj się rozjaśniało, i kiedy De Benham zatrzymał się czekając na odpowiedź, podniósł głowę z uśmiechem. Powiedział od razu, że chętnie pozbyłby się tego majątku, gdyby to tylko było z korzyścią dla jego siostrzenic. Niepodobieństwem było żeby tu same mieszkały, a trudno żeby ziemia została daléj uprawiana i interesa prowadzone na ich korzyść. Myślano o wypuszczeniu w dzierżawę folwarku, ale i to nie byłoby zupełnie stosownem, gdyż właścicielkami były trzy młode dziewczyny, które mogły niedługo pójść za mąż i mieć osobne interesa. Nareszcie on, p. Marek Bowstead, był fabrykantem piór stalowych w Birmingham, zupełnie się nie znał na rolnictwie, i nie byłby zdolnym osobiście utrzymywać nadzorn nad gospodarstwem. Najlepiéj więc byłoby od razu majątek sprzedać; dla niego najwygodniéj, a najkorzystniéj dla młodych współwłaścicielek. Daléj mówił że wieczorem dnia poprzedniego przeglądał papiery i regestra biednego Mateusza, i że chociaż brat jego kupił tę część dóbr za umiarkowaną cenę, zastał ją, jak świadczyły notatki własną jego ręką napisane, w stanie wielkiego spustoszenia, i wiele pieniędzy musiał wydać na drenowanie, użyznienie gruntów i t. d.; nowy nabywca musiałby więc mieć wzgląd na te wkłady.

(*C. d. n.*)

Дозволено Цензурою, Варшава 13 (28) Ноября 1875 г.